

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 180.

№ 18. | Warszawa, 16 września 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

Z PIŁAWINA

Hr. Józefa Potockiego.






Przychówek tegoroczny.

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Wiewiórka (Sciurus vulgaris). Miłe to, niezwykle ruchliwe i zgrabne stworzonko wliczyć musiałem do liczby zwierząt łownych z dwóch względów: raz jako dające futerko, a powtóre z racyi szkód, jakie rzeczywiście, czy rzekomo łowiectwu przynosi.

Gryzoń ten posiada futro, zmieniające barwę swą stosownie do klimatu lub pory roku. U nas barwa jego jest prawie niezmiennie rudo kasztanowata na wierzchu i bokach ciała, a biała — na gardzieli, piersiach i brzuchu. Czasami trafiają się egzemplarze mniej lub więcej popielate, czarne, lub też w wypadkach albinizmu rudo- i biało-łaciaste, a nawet całkiem białe. W Tatrach i Karpatach nierzadko zdarzają się okazy ciemno-kasztanowate, lub prawie czarne. Powszechnie zaś znane popielice, nie są niczem innem, jak futrem zwyczajnej wiewiórki, która na Syberyi przybiera stale barwę popielatą.

Wiewiórka zamieszkuje całą Europę, aż po Grecyę i Hiszpanię, a także północną i środkową Azyę; wszędzie zaś obszar jej rozmieszczenia zależny jest od znajdowania się lasów.

W ostatnich czasach, zwłaszcza w Niemczech, wypowiedziano zażartą wojnę wiewiórkom we wszystkich gospodarstwach łowieckich, motywując ją szkodami, jakie te zwierzątka wyrządzają w zwierzynie pierzastej, niszcząc jaja, a nawet pisklęta ptaków łownych. Że wiewiórka bardzo jest łakoma na jaja ptasie, o tem mówią nawet najbardziej krańcowi jej obrońcy. Lenz odebrał raz wiewiórce dorosłego drozda, co dowodzi, że mały ten drapieżnik rzuca się nawet na względnie spore ptaszki. Brehm jednak broni wiewiórki, utrzymując, że szkody, jakie czyni wśród świata pierzastego, są względnie małe, a natomiast niemiecki uczony podnosi urok, jaki nadaje naszym lasom to, pełne gracyi i zwinności zwierzątko. Bądź co bądź dzisiaj wiewiórkę niemal wszędzie zaliczono do szkodników, a w porządnych gospodarstwach łowieckich wyznaczone bywają nagrody za ich zabicie. Według mego zdania, wiewiórka zasługuje na tak surowe postępowanie głównie dlatego, że niszczy wielką ilość jaj ptaszków owadożernych, przyczyniając tem pośrednią szkodę gospodarstwom leśnym.

Wiewiórka u nas nie przynosi żadnych korzyści człowiekowi, gdyż futro jej nie daje się użyć na żadne cele, a mięso, jakkolwiek przez wielu smakoszów zachwalone, nie znajduje u nas zwolenników.

Świnie (*Suidae*).

Dzik (*Sus scrofa*). Ten protoplasta świni domowej, posiadając w głównych zarysach jej cechy, przechował jednak charakter zwierzęcia dzikiego. Wielki łeb, potężnie rozwinięty przodek i silne szable, zdobiące stare samce, nadają całej postaci jego cechy pewnego majestatu, którego trudno dopatrzeć się w zwyrodniałej i pod wpływem wyboru sztucznego, silnie zmodyfikowanej świni domowej. Kto widział dużego odyńca, mknącego w potężnych susach, ten przyzna, że jest to zwierz piękny, czego nie można powiedzieć o naszej trzodzie chlewnej.

Barwa dzika ulega dość znacznym modyfikacyom, najczęściej jednak spotykają się dziki siwe lub szare z czarnym grzbietem i kończynami. Jeśli kolor siwy jest bardzo rozwinięty, wówczas ogólny ton ubarwienia bywa srebrzysty. Trafiają się też dziki prawie czarne, inne mocno rude, jasno-szare, a nawet prawie zupełnie białe. Są to wyrodki, których anormalne ubarwienie wywołanem zostało przez degeneracyę. Znane są wreszcie okazy łaciaste, zwykle brudno-szare z czarnemi łatami, które napewno pochodzą od skrzyżowania się dzika ze świnią domową. Tego rodzaju wyrodki trafiają się zwykle w okolicach, gdzie trzoda chlewna, nie dość starannie pilnowana, ucieka do lasów, a tam, zdziczawszy, łączy się ze stadami dzików. U nas, w Królestwie Polskiem, wypadki tego rodzaju są dziś nader rzadkie; natomiast dość często powtarzają się na Litwie i na Wołyniu.

Nie ulega wątpliwości, że maksymalna waga dzików uległa w ostatnich czterdziestu latach znacznemu obniżeniu w granicach Królestwa Polskiego. Jeszcze w szóstym dziesiątku lat ubiegłego stulecia spotkać u nas było można odyńce, dochodzące wagi

---

CASUS FATALIS.

(Obrazek z życia petersburskich myśliwych).

Dla mieszkańca zapadłej prowincyi dziwne nastały teraz czasy; komunikacya z Warszawą niepewna, poczta nie funkcyonuje, polowanie wzbronione, na winta w sąsiedztwo jechać niebezpiecznie, bo można bardzo łatwo zostać posądzonym o jakąś tam agitacyę. Wreszcie i ten sam wint nie sprawia tej przyjemności, co dawniej, bo wygrane pieniądze trzeba zaraz oddawać pani domu, lub jej córuni, na głodnych, z konieczności więc siedzieć w domu wypada. Dzień, to jeszcze schodzi jako tako na doglądaniu gospodarstwa podwórzowego, ale skoro ten strasznie długi wieczór nadejdzie, to doprawdy czarna rozpacz człowieka ogarnia, co z nim zrobić? Gazet niema, książki wszystkie przeczytane, więc łazi się z kąta w kąt, rozmyślając, co, lub kogo za to wszystko winić wypada? Przychodził mi już na myśl Oyama, Togo, Port Artura, 30 października, ale to nie doprowadziło do żadnego konkretnego rezultatu, prawdopodobnie z tej przyczyny, że dotąd nie mogę się zdecydować na wybór należenia czy do pepeesów, endeków, pedeków, lub też esuców. Próbowałem zabrać się nawet do pasyansu, ale ten nie przypadł mi jakoś do gustu, więc, po kilku dniach namysłu, postanowiłem ostatecznie wziąć na odwagę i spróbować sił swoich na polu literackiem, aby przynajmniej w ten sposób móc z towarzyszami po broni otwarcie pogawędzić. Czy należycie sprostam zadaniu, tego powiedzieć nie umiem, ale przecież nie święci garnki lepili, więc w Imię Boże, prosto z mostu paf do wody!

Chcę opisać zdarzenie, jakie się przytrafiło jednemu z moich dobrych znajomych, a powodem czego stała się najpowszechniejsza funkcya cielesna, jakiej ulegają codziennie, bez wyjątku, wszyscy ludzie, tylko że się z nią starannie przed świadkami ukrywają ze względów dobrego wychowania.

W Petersburgu znam inżyniera, który, oprócz specyalnego swojego zajęcia, traktuje jeszcze *con amore* i myślistwo. Jest to przystojny kawaler z niezłą pozycyą, więc mógłby łatwo, jak to powiadają, zrobić na ożenku karyerę. Tymczasem pan inżynier w młodzieńczych będąc jeszcze latach, z przekonania i dobrowolnie zaciągnął się pod sztandar bogini Dyany, i dotąd stale wierności jej dotrzymuje. Naturalnie, płeć piękna, niewtajemniczona dokładnie w warunki tej służby, noskami na stronie pokręca, dziwiąc się przytem, że taki poważny kandydat na małżonka tak nieprodukcyjnie jałowieje, wołąc trawić czas *tête a tête* z lubą swoją fuzyjką, niż iść z wizytą, gdzieby go chętnie widziano, lub z większą przyjemnością śpieszy na polowanko, niż na najświetniejszą zabawę. *Chacun à son gout*—słusznie powiadają Francuzi, — bo co komu do tego, co kto lubi? To też, nie wdając się

powyżej 800 funtów, na co mam świadectwa osób najzupełniej wiarogodnych. Dziś średnia waga dużego pojedynka waha się między 400 a 500 funtami, a tylko w bardzo wyjątkowych razach dosięga 600 funtów, lub nieco przekracza tę cyfrę. Za przyczynę tego obniżenia się wagi wielkich dzików uważać należy z jednej strony zmniejszenie się przestrzeni leśnych, a powiększenie gęstości zaludnienia, co zawsze sprowadza degeneracyę grubego zwierza; a z drugiej znów — częstsze wytępianie dzików, niedające dojść zwierzynie do pełni rozwoju.

Dzik zamieszkuje całkowitą Europę, z wyjątkiem północnych jej części, oraz Anglii; następnie północną Afrykę (Egipt, Alger i Marokko), także prawie całą Azyę, aż po Indye wschodnie. Dziki indyjskie są uważane przez niektórych uczonych za odmienny od europejskiego gatunek.

W granicach Królestwa Polskiego za najpoważniejszą ostoję dzików uważać należy lasy Spalskie (gub. piotrkowska), należące do Najjaśniejszego Pana. Dzięki ochronie i należytemu karmieniu, dziki rozmnożyły się tam w takiej ilości, że w końcu zaczęły zagrażać stanowi innej zwierzyny, a mianowicie jeleni. Wskutek tego przed paru laty z Najwyższego zezwolenia zaczęto tam dziki odstrzeliwać, aby stan ich doprowadzić do należytej normy.

Z pomiędzy innych majątków Królestwa Polskiego, w których dziki stale się trzymają, wymienić można:

Gub. *warszawska*: Chojnów — hr. Ksawerego Branickiego, Łoś — pp. Mysyrowiczów, Pęchery — Warsz. Tow. Dobroczynności, Młochów — hr. Krasińskiej, lasy Bolimowskie—hr. Sobańskiego, Nieborów — ks. Janusza Radziwiłła, Skierniewice (ks. Łowickie), Nasielsk (pow. płoński) — hr. Tarnowskiego, Zatory (pow. pułtuski, — hr. Józefa Iżyckiego. Nie słychać natomiast o dzikach w lasach Miłosny, Okuniewa, Nieporętu, Jabłonny, Wawra i Zegrza, gdzie dawniej dziki należały do stałej zwierzyny.

Gub. *radomska*: Trzebień — hr. Jana Zamoyskiego, Kozienice (rządowe), Bałtów — ks. Aleksandra Druckiego-Lubeckiego, Końskie-Wielkie — hr. Juliusza Tarnowskiego, Starachowice—Tow. Lilpop Rau i Loewenstein, Ruda Maleniecka, Nieklań — hr. Platera, Staszów — ks. Macieja Radziwiłła. Te ostatnie lasy słynęły niegdyś z wielkiej ilości dzików, których stan obecnie upadł w znacznym stopniu, jak się zdaje. Podobny upadek zauważyć się też daje w lasach Bodzechowskich — pp. Kotkowskich.

Gub. *kaliska*. W gubernii tej słynęły przed kilkunastu laty dwa majątki, jako obfitujące w dziki, a mianowicie Rychłocice — p. Trepki i Grzymiszew — pp. Puławskich. Kronika myśliwska lat ostatnich nie wspomina, aby tam dziki padały na polowaniach.

Gub. *kielecka*. Nie mam żadnych danych co do znajdowania się dzików w tej guberni.

Gub. *siedlecka*. Najważniejszą ostoją dzików w tej części Królestwa jest niewątpliwie Różanka — hr. Augusta Zamoyskiego. Piękny stan dzików spotyka się w majątkach: Konstantynów — hr. Platera, Woroniec — ks. Czesława Światopełk-Mirskiego, Międzyrzec — JE hr. Andrzeja Potockiego, Kock — hr. Żółtowskiego, Sobieniec hr. Jezierskiego i w wielu innych.

Gub. *lubelska* należy dziś może do najlepiej zasiedlonych przez dziki części kraju naszego. Przedtem zwierzyna ta stale trzymała się tylko w kilku większych majątkach, jak np. w Strzelcach — hr. ordynata Zamoyskiego, w Woysławicach — hr. Franciszka Poletyły, w Kraśniczynie — hr. Jana Poletyły, w Wólce — hr. Witolda Poletyły, w Poturzynie — p. Wojciechowskiej, w Tarnawatce—p. Kryńskiego i w kilku innych. Od kilku lat dziki zaczęły się pojawiać prawie we wszystkich większych lasach gubernii, i dziś należą do bardzo rozpowszechnionej, grubej zwierzyny.

Nie mam żadnych danych co do znajdowania się dzików w guberniach: suwalskiej, oraz łomżyńskiej i płockiej w dzisiejszych ich granicach (po przyłączeniu powiatów: płońskiego i pułtuskiego do gub. warszawskiej).

W gub. *piotrkowskiej* dziki znajdują się prawie we wszystkich lasach, leżących w sąsiedztwie Spały, a nadto w Kruszyńskich lasach ks. Stefana Lubomirskiego, w Rędzinach, dzierżawionych przez Kółko myśliwych z Warszawy, oraz w wielu innych.

Na *Litwie* najpiękniejszy stan dzików istniał w lasach Dawidgródeckich (na Pińszczyźnie), należących do ordynacyi Kleckiej. Na *Wołyniu* wielką ilością dzików odznaczały się zawsze lasy Szepetowieckie Józefa hr. Potockiego, oraz majątek Stężarzyca hr. Władysława Branickiego, a także Koniuchy i Poryck hr. Czackich. Na *Podolu* dziki spotykają się w niektórych zalesionych majątkach.

---

w szczegółową krytykę, lepiej postąpię, skoro objaśnię, że inżynier należy do niewielkiego, lecz wyborowego kółka myśliwych, które od dość dawna dzierżawi rozległe przestrzenie, składające się przeważnie z obszernych lasów i błotnych miejscowości. Zawdzięczając ścisłej ochronie i licznej, dobranej straży, zwierzostan, jak na stosunki Cesarstwa i bliskość stolicy, uważać można tam za bardzo dobry. Z czworonogów, oprócz zająca-bielaka — łoś wilk, lis, a nawet ryś nie są rzadkością. Z ptactwa, nie licząc błotnego, jest głuszec, cietrzew, pardwa, jarząbek i wcale niezły, wiosenny ciąg słonek. Wogóle biorąc, teren jest wdzięczny, komunikacya łatwa, bo w dwie godziny staje się na miejscu, przytem dom wygodnie urządzony, śpiżarnia zaopatrzona, służba wytresowana, słowem, prawdziwe eldoradko, do którego każdy z członków kółka z przyjemnością zawsze podąża. Naturalnie, musi to wszystko sporo kosztować, ale myśliwi, należący do tego szczupłego, lecz wyborowego grona, wszyscy, bez wyjątku są ludzie zamożni, i aby dogodzić upodobaniu, nie bardzo rachują się z groszem. Chociaż stale zamieszkują oni miasto, nie są to *sontagsjägery*, ani też zwykłego typu rosyjskiego, co to, nie uwzględniając zasad prawidłowego łowiectwa, wybijają wszystko do szczętu bez względu na przyszłość, czyli, krótko mówiąc, jest to kółko myśliwych, rządzące się wedle dobrze obmyślanego planu, a które można śmiało innym, nawet u nas w Królestwie, za wzór postawić.

Aby uniknąć wystrzeliwania samic, postanowiono głuszce i cietrzewie bić tylko na tokach, lub z cieniami, jarząbki z wabikiem, a dopiero na wszelkie inne ptactwo wolno polować z wyżłem. Polowanie z ogarami zupełnie jest wyłączone, natomiast z braku ludzi do naganki, pskowski sposób ma szerokie zastosowanie, a w razie, gdy myśliwych zbierze się więcej, to już wtedy zakłady z konieczności urządzają się przy pomocy flader. Nadto dla amatorów, we właściwej porze bywa kilka polowań na łosie na wabia, do czego utrzymuje się specyalnego artystę. Oprócz wszelakich polowań, można się tam jeszcze zabawić i w rybołówstwo z wędką, gdyż jest kilka rybnych jezior i rzeczka obfitująca w pstrąg.

Inżynier, jako Litwin, nieraz miał sposobność bić łosie na polowaniach z ogarami, obławach, lub napędzane pskowskim sposobem, ale, jako myśliwy wyższego stylu, zapragnął jeszcze spróbować polowania na wabia, które porównywał co do doniosłości wrażeń i doznawanych emocyj, ze strzelaniem jeleni na rykowisku. Ponieważ pragnienie to z biegiem czasu stawało się coraz uporczywsze, nie dając mu chwili spokoju, przeto, mając łatwą możność dogodzenia swej fantazyi, postanowił wydać rozporządzenie, że jak tylko łosie rozpoczną wabienie, aby go bezzwłocznie zawiadomiono.

Didko.

(Dok. nast.)

Wschodnia *Galicya* jest lepiej przez dziki zasiedloną, aniżeli zachodnia. Zwierzyna tu spotyka się najczęściej u podnóża Karpat, a także od granicy Wołynia Słynęły tu zawsze polowania dzicze w majątku Poturzyca hr. Dieduszyckiego.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n*).



Albert Mniszek.

JARZĄBEK.

(Tetrastes - Bonasia).

I.

Rozmaite nazwy naukowe polskie i słowiańskie.— Krótki opis według Taczanowskiego. — Obszar zamieszkania. — Obyczaje i pożywienie. — Odmiany. — Krzyżowania.

Jarząbek należy do rzędu ptaków kurowatych (Gallinae) i jest obok głuszca i cietrzewia trzecim i ostatnim kurakiem leśnym, a jedynym przedstawicielem swego gatunku (Bonasia). Ptak ten, jak zresztą wszystkie inne, mnóstwo ma nazw w literaturze naukowej. Brehm, Nauman i Tyzenhaus zwą go Tetrao bonasia (nazwa bonasia według Alberta Magnusa pochodzi od *bona assa*, t. j. dobra pieczeń), Taczanowski daje mu nazwę Bonasia betulina. Ogólna nazwa jego polska używana już w wieku XVI-ym, jest jarząbek. Według Kluka i Tyzenhausa zwie się naukowo Gluszec jarząbek, według Wodzickiego Kniejotek - jarząbek. Po czesku zwie się jeżabek, po słowiańsku: velika, albo hostna jerebica, leščerka, po dalmatyńsku: pokośka, po kroacku i serbsku: Lještarka, po rosyjsku: rjabczyk, rjäbec, lub rjäbok.

Chr. L. Brehm rozróżnia dwie odmiany jarząbków, mianowicie:

a) odmianę północną (Tetrao bonasia lagopus), zamieszkującą północną i północno-wschodnią Europę,

b) odmianę południową (Tetrao bonasia sylvestris), zamieszkującą środkową i południową Europę.

Byłaby wreszcie do uwzględnienia i trzecia odmiana, opisana przez Menzbiera (Tetrastes griseiventris), zamieszkująca Azyę i Ural.

Różnica w upierzeniu między odmianami *a* i *b* ma polegać na tem, że gdy w pierwszej przeważa płaszcza kolor popielaty, to w drugiej płaszcz jest jest więcej rdzawo bronzowy, gdy zaś pierwsza odmiana ma nogi upierzone aż do palców, u drugiej skoki są niecałkowicie upierzone. Według J. P. Prazaka (Zur Ornis Ostgalizien) jarząbki czeskie i galicyjskie należą do odmiany południowej (sylvestris).

Znakomity jarząbkoznawca, prof. F. Valentinitsch, twierdzi, że to dzielenie jarząbków na odmiany jest zupełnie niepotrzebnem i niesłusznem, gdyż różnice ich w upierzeniu zacierają się nietylko tam, gdzie te dwie odmiany się z sobą spotykają, ale nawet w okolicach południowo-wschodnich. I tak np. w Alpach bardzo często spotykane bywają egzemplarze o popielatych plecach i całkowitem upierzeniu skoków.

Taczanowski w swojem znakomitem dziele p. t. „Ptaki krajowe“ tak opisuje jarząbka:

„Z wierzchu szary, brunatno, rdzawo i biało-pstry, od spodu biały, czarno plamisty; u samca czarne podgardle.

Dziób czarny; palce i część nieupierzona skoku rogowo - brunatna, tęcza brunatna, na wierzchu głowy podługowate piórka tworzą czubek dowolnie podnoszony; czerwona, naga, nadoczna smuga wązka.

Stary samiec ma wierzch głowy rdzawo-szary, brunatno gęsto pręgowany, kark i środek pleców szaro-popielaty, z brunatno - czarniawemi, poprzecznemi prążkami; niższą część grzbietu, kuper i pokrywy nadogonowe popielate, subtelnie i mało znacznie, ciemniej popylone; pióra łopatkowe rdzawo, szaro i rudawo plamiste, z szeregiem na pierwszych grubych białych plam; na pokrywach skrzydłowych, szaro i brunatno-plamistych gęste, białe pędzelki; pod okiem biała plama księżycowata, za okiem podłużna i takaż szeroka smuga, otaczająca czarne podgardle, zaczynająca się za nozdrzami i połączona na przodzie szyi; w poprzek boków szyi szeroki, biały pasek, na boki pleców zachodzący; przód szyi rudawy, czarno i biało, grubo łuskowany; reszta spodu biała, grubemi plamami czarnemi posypana, w środku których znajdują się białe oczka; pióra boczne mniej więcej rdzawe, biało zakończone z czarnym prążkiem między temi dwoma kolorami; pokrywy podogonowe rudawo-szare, czarno popylone, biało kończyste, z podobną czarną przegródką; lotki ciemno brunatne ze skrajnemi stosinami białawemi, brunatno w odstępach regularnych znaczonemi i końcami rudawo poprószonemi; sterówki popielate rudawo mniej więcej pociągnięte, subtelnie czarniawo poprószone, z szeroką, czarną, przedkońcową pręgą, niezajmującą czterech środkowych; same końce jaśniejsze mniej poprószone; upierzenie skoków białawo-szare. U niektórych przód szyi mocno rdzawy z drobnemi, białemi plamkami i mało znacznemi, poprzecznemi, czarnemi kreskami, i boki ciała przeważnie rdzawe.

Samica mało mniejsza, różni się w ubarwieniu brakiem czarnego koloru na podgardlu, które jest płowo-białawe, brunatno, drobno plamkowane i otoczone rzędem białawych plam w miejscu białej ciągłej, opaski; białe plamy za i pod okiem, mniej czyste i mniej wyraźne, na plecach więcej rudo-szarawych grubsze, czarniawe plamy; na pokrywach skrzydłowych mniej koloru rdzawego, a więcej czarniawego; plamy na piórach łopatkowych i pokrywach skrzydłowych płowe w miejscu białych; mniejsza i mniej odznaczona smuga na bokach szyi; na spodzie ciała mniej regularne, czarniawe plamy, na środku brzucha białemi końcówkami stłumione; czarność dzioba bledsza i węższa, czerwona smuga nadoczna.

Młode w pierwszem pierzu podobne do samicy, dziób mają brunatno rogowy, blady, nogi cieliste; na karku i plecach tło szaro-rudawe, płowo i czarniawo upstrzone; niższą część grzbietu rudawo-szarą nieznacznie ciemniej upstrzoną; podgardle i spód białwy, na szyi rudawo zafarbowanej, brunatne plamkowanie; na piersiach tylko blado-brunatne plamy gdzieniegdzie przeglądają; na piórach barkowych, brunatno - rdzawych czarne plamy i długie, płowe smużki w miejscu szeregu białych plam; sterówki szaro rudawo pociągnięte i brunatno popylone, bez ciemnego, końcowego pasa. Po pierwszem wypierzeniu się obie płcie przybierają doskonale odzieże.

Wymiary:	samiec	samiec	samica
Długość całkowita	392	365	—
„ siągu	520	508	—
„ ogona	123	120	110
„ skrzydła złożonego	166	164	163
„ dzioba od kąta ust	24	24	22
„ „ od nozdrzy	10,5	10,5	10
„ skoku	35	35	34
„ palca środkowego	33	32	30
„ pazura	10	9	9
„ ksiuka	7	7	7.

Jaja stosunkowo szczuplejsze od głuszcowych, tło mają bledsze od cietrzewiowych, więcej zbliżone do bladych głuszcowych, plamy i kropki rdzawo-brunatno ciemne, stosunkowo drobniejsze i mniej liczne, niż na cietrzewiowych, wogóle większe i gęściej zgromadzone przy jednym z końców“.

(C. d. n.)

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

2 września. Wyruszam o godz. 6-ej rano, gdyż pragnęłabym jaknajprędzej dowiedzieć się o rezultacie zasadzki; hyeny wyły przez całą noc, a dwie z nich spostrzegam tuż przy samym obozie. Massayowie otaczają te wstrętne stworzenia wielką czcią, gdyż są to „żywe sarkofagi" dla ich nieboszczyków, których wystawiają w nocy na pożarcie.

Guy wyszedł już na moje spotkanie. Słyszał on ryk dwóch partyj lwów pomiędzy 12-tą a 5-tą godziną, pozostawały one jednak stale w odległości paru kilometrów. Jakiś lampart przyszedł „miauczyć" o jakie 150 kroków, lecz Kassaba kaszlał ciągle, nieustannie zapalał i gasił prożektor, a nawet ćmił papierosa. Przez ciąg dwóch godzin nosorożec, w odległości 40 do 50 metrów, mruczał i wyrzucał ziemię rogami, co niepokoiło strasznie Guy'a, gdyż „boma" była bardzo niedostateczną zasłoną od podobnego gościa, a zepsuty przez Kassabę prożektor nie mógłby służyć do odparcia ataku.

Słuchając opowiadania tych przygód, podeszliśmy do stada kobów. Guy zabija największego z nich z odległości 200 metrów; jest to prawie rekordowy egzemplarz, gdyż rogi jego mierzą 0,76 m. Strzelam następnie do dropi, a Guy zabija kilka przepiórek. Jest to uprzywilejowane miejsce tej zwierzyny, którą spotyka się tu w ilościach niebywałych.

Ponieważ nadeszły łódki Suków, Massayowie proponują Guy'owi podczas śniadania, ażeby zrobił wyprawę na hipopotamy. Spuszczono łódź na wodę i Guy rusza, a ja tymczasem szkicuję jeden z tych małych stateczków, których forma zdaje się być wyłącznie właściwą jezioru Baringo. Zdaje się, że na Nilu Błękitnym krajowcy budują tratwy z tego samego drzewa, zwanego „ambatch". Są to pnie krzewu, przypominającego baobab w miniaturze; wnętrze pnia jest napełnione rodzajem miąszu, który czyni to drzewo lekkiem, jak piórko. Łodzie te porusza się przy pomocy wielkich łopatek bez rączek. Wiosłujący siedzi wewnątrz ku tyłowi statku, gdy jednocześnie przód wystaje kompletnie z wody.

Udaję się następnie na motyle, kręcące się koło kwiatów mimozy, natrafiam jednak na same pospolite gatunki. Zabijam orla - rybołowa, koloru białego z brunatno-czerwonym, a nadto gęś i czaplę purpurową. Guy wraca około południa, zdaje się, że zabił jednego hipopotama na 200 metrów, a chybił ośm innych. Strzał do hipopotama w podobnych warunkach jest bardzo trudny, gdyż statek się chwieje, a nadto silna rewerberacya światła utrudnia strzelanie.

Zaledwieśmy siedli do śniadania, gdy dają znać o przybyciu misyonarza, który nie czuje się zbyt zmęczonym, pomimo strasznego upału (32° pod namiotem, a 46° nazewnątrz).

Po południu czubate żórawie zbliżyły się na 100 metrów do naszego obozu; zabijam jednego z nich z mojego karabinka.

3 września. O godz. 7-ej rano nadchodzą nasi przewodnicy, oświadczając, że jeden z hipopotamów, strzelonych dnia poprzedniego, wypłynął na powierzchnię. Ruszamy szybko z obozu i znajdujemy zwierzę w rękach Suków z sąsiedniej wioski. Na nieszczęście jest to bardzo mały egzemplarz. Guy rusza na wycieczkę i wraca z oryxem, zabitym na 300 metrów od jednej kuli. Zwierz ten trzymał się samotnie, jak się zdaje, dlatego, że, mając ogon urwany przez lwa, unikał sąsiedztwa stada, koło którego gromadziły się muchy w znacznej ilości.

Po południu do godz. 4-ej pozostajemy w obozie; Guy reparuje swój prożektor. O godz. 5-ej biorę karabinek, aby zrobić małą wyprawę myśliwską. Spotykam 7 dropi, zbliżam się do nich i zabijam jednego. Po powrocie do obozu ważymy go: 13 kilo!

4 września. Zarzucamy myśl wycieczki na wyspę: Henryk nie ma ochoty nocować na niej, mnie znów nie uśmiecha się podróż tam i z powrotem jednego dnia. Guy, w celu pogodzenia tych dwóch różnych sposobów widzenia, utrzymuje *status quo*; zrzekamy się więc tego pikniku i wyprawy do źródeł gorących Laburri, świeżo odkrytych przez pana Bakera.

Ponieważ przewodniczący nie mogli znaleźć hipopotamów na lądzie, Guy wraz z misyonarzem udaje się łodzią. Wracają po dwugodzinnej wyprawie, podczas której strzelali do 8-u hipopotamów na odległość od 100 do 200 metrów. Jeden z nich wypłynął o 10 metrów od ich łupiny orzechowej, zbyt jednak krótko bawił na powierzchni. Misyonarz znalazł, że żarty są trochę ryzykowne. Ponieważ pozycya skurczona w łódce zaczęła męczyć po pewnym czasie naszych myśliwych, więc postanowili wracać; po drodze zabili pięknego pelikana, w którego worku znaleźliśmy 21 małych rybek. Wsiadam do trzeciej łódki, gdy jednocześnie Henryk szykuje aparat fotograficzny. Zachwycam się tym nowym dla mnie rodzajem żeglugi, gdy misyonarz znajduje zbyt nudnem to pozowanie. Nie jest on ani krawcem, ani szewcem, aby pozostawać w takiej niewygodnej pozycyi.

Wracając do obozu, widzimy marabuty. Strzelam do nich, lecz zabijam tylko sępa; pozostawiam go Kikujom, którzy wyrywają mu pióra. W chwilę potem jeden z marabutów wraca i tym razem zabijam go. Ma on wspaniałe pióra, szczególniej w skrzydłach i na kuprze.

O godz. 2-ej przychodzi poczta z Francyi z dobremi nowinami. Wieczorem Guy robi próby z prożektorem. Ponieważ Kassaba nie chce obchodzić się z nim należycie, Guy radzi mi powrócić z askarisem, który niesie naszą pocztę do Nakuru.

5 września. Pomiędzy 9-tą a 10-tą rano robię małą wycieczkę po równinie, lecz mulica moja ucieka mi, wskutek czego zarzucam myśl udania się na dwa strzały, które usłyszałem od strony lasu mimozowego.

Wkrótce po moim powrocie do obozu, nadbiega zadyszany jeden z tragarzy, mówiąc, że „Bwama" zabił „simba modia, punda milea, ingiri"! i że prosi o tragarzy. Posyłam mulicę, aby jaknajprędzej ujrzyć mego męża, który przybywa w dwie godziny później wraz z muchillą (rodzaj hamaku), w której spoczywa król zwierząt. Podczas śniadania Guy opowiada nam przygody dnia.

„Wstawszy o 4-ej rano, usłyszałem ryk lwów, wyruszyłem więc o 5-ej, w nadziei spotkania świeżych tropów. Ponieważ wiatr miałem dobry, więc po drodze zabiłem jedną zebrę i jednego phacochera, nie obawiając się, że tem zepsuję sobie polowanie. Dalej jednak wiatr był mniej sprzyjający, więc przepuściłem bez strzału starego samca strusia, który przedefilował odemnie zaledwie o 100 metrów.

Zaledwie wkroczyłem w zarośla, gdym spostrzegł na dnie wąwozu świeże tropy trzech lwów. Po czterogodzinnem tropieniu, mniej lub więcej trudnem, przybywam na skały pierwszych rozgałęzień Laikipii, gdzie naturalnie zgubiłem tropy i musiałem się zadowolnić badaniem okolicy przy pomocy lornety, gdy nagle spostrzegam na jakie 800 metrów trzy lwy, idące spokojnie krokiem. Puszczam się w pogoń za nimi, lecz znalazłszy się o jakie 500 metrów przy złym wietrze, spostrzegam, że lwy zatrzymały się,

i zwietrzywszy niebezpieczeństwo, puściły się kłusem. Idę ciągle za niemi, lecz spostrzegam wkrótce ze smutkiem, że puszczają się galopa. Kładę się wtedy na ziemi wraz z mymi dwoma myśliwcami i wnet widzę, że lwy się zatrzymują, poczem ruszają stępa, zmieniając kierunek o ćwierć koła. Nie ruszam się z miejsca, śledząc tylko przy pomocy lornety, jak zwierzęta przecinają otwartą równinę, długą na dwa kilometry. Skoro tylko wkroczyły do lasu, ruszam szybko, przed wejściem jednak do gąszczu przedsiębiorę niektóre środki ostrożności, a mianowicie: nakładam kauczukowe podeszwy, sprawdzam ładunki, biorę na ramię kaliber 450 i dalej naprzód! Zaledwie przebyłem 190 metrów, gdy oto wpadam na moje trzy lwy! Jest to lew z dwiema lwicami. Samiec stoi o jakie 150 metrów w dość niewygodnej dla mnie pozycyi, zakryty krzakiem; obie lwice znajdują się nie więcej, jak na 120 metrów i niczem nie zasłonięte. Decyduję się więc strzelać do jednej z nich, nie ze strachu jednak, jak to czynią niektórzy myśliwi w obawie zemsty poszkodowanej lwicy. Podnoszę wizyer na 200 metrów, gdyż widzę po raz pierwszy lwy, a odległość jest trudna do ocenienia. Celuję starannie, strzelam i chybiam. Na szczęście kula pada poza lwicami, co wywołuje w nich chwilę niepewności, z której korzystam, aby wystrzelić swą lewą lufę, biorąc muszkę bardzo cienką. Strzał był celny. Lwica osuwa się, lecz następnie jednym susem ginie mi w gąszczu. Pozostawiwszy na później śledzenie postrzałka, rzucam się za lwem, nabijając w biegu sztucer. Lew zrobił zaledwo ze 100 metrów i zatrzymał się za przejrzystym krzakiem na taką mniej więcej odległość, na jaką miałem poprzednio lwicę. Strzał mój jest celny; lew wydał ryk bólu. Biegnę ku niemu, lecz lew rusza w moją stronę z groźnym pomrukiem i z ogonem złowieszczo wyprostowanym. Krok jego staje się coraz szybszym. Czekam nań z paradoksem w rękach, z którego puszczam pierwszą kulę na 20 metrów, a drugą na 12. Pada prawie u mych nóg pod krzakiem, charcząc w przedśmiertnej agonii, lecz z okiem otwartem jeszcze. Moi myśliwi radzą mi dostrzelić go, co też czynię, napróżno jednak, gdyż ta moja ostatnia kula niepotrzebnie tylko skórę uszkodziła. Strzał z cal. 450 przeszył lwu płuca; pierwsza kula z parodoksa na 20 metrów strzaskała szczękę dolną i zrobiła obcierkę na lewej łopatce; ostatnia zaś — przebiła piersi i serce. Pozostawiam przy zabitym lwie jednego z ludzi na straży; widzę, jak się uzbraja w gruby kij i trzyma się w pewnej odległości z obawy represyj ze strony małżonki zabitego.

Podjąwszy następnie tropy ranionej lwicy, spostrzegam z radością krwawe ślady; na nieszczęście postrzałek skierował się do gąszczu mimozowego, gdzie trudno było iść za tropami. Już o 10 kroków nie było nic widać i dlatego nie mogłem strzelać, mimo żem słyszał pomruk uciekającego zwierza. O 100 metrów dalej powtórzyło się to samo. Tropienie stawało się coraz trudniejszem, gdyż ślady krwi znikły. Koniec końców musiałem zaniechać dalszego tropienia, ubolewając nad tem, że mi się wymknęła okazya zrobienia tripleta do lwów".

(*C. d. n.*).

Psy stepowe.

Od dłuższego już czasu niepokoją rolnicy zachodnich Stanów Zjednoczonych swoje ministeryum rolnictwa w Washingtonie, skargami na niezmierne szkody, jakie im wyrządza niepozorne stworzenie, zwane u nich „psem stepowym". Ministeryum rolnictwa w Unii amerykańskiej, jest zarazem instytutem naukowym, który zatrudnia całe szeregi specyalistów dla badań agronomicznych, chemicznych, zoologicznych i t. p. W odpowiedzi przeto na ciągłe zażalenia, bezustanne skargi na „psy stepowe" — ministeryum zarządziło ankietę, która miała rzecz zbadać gruntownie, poznać należycie oskarżonego, jego zwyczaje i obyczaje, zanim zapadnie wyrok ostateczny, skazujący małego czworonoga na śmierć.

Poważny zoolog, p. Hart Merriam, wybrał się przeto z kolegami do stanów, gdzie „psy stepowe" tak bardzo naraziły się rolnikom, i po dłuższych studyach, ogłosił w „Year-Book" ministeryalnem rezultat swoich spostrzeżeń. Spostrzeżenie to istotnie nader interesujące. Podróżujących po Stanach Zjednoczonych koleją żelazną w kierunku od wschodu ku zachodowi, zastanawiają małe stworzenia — wielkości naszego kota domowego, — które w niezbyt wielkiej odległości od toru wyprawiają szalone gonitwy, igrzyska i zabawy swe towarzyskie, nie troszcząc się wcale, iż pociąg olbrzymi z hukiem, szumem i dymem przelatuje tuż obok ich siedzib, a siedziby te w tych okolicach ciągną się daleko, szeroko, jak tylko oko dojrzeć zdoła.

Cała olbrzymia przestrzeń kraju, pomiędzy Missisipi aż do łańcucha gór Skalistych z jednej strony, a pomiędzy Dakotą i Montaną a Texas i Meksykiem z drugiej strony jest formalnie zasiana niemi. Uderzają te siedziby oko tembardziej, że jak wiadomo, kraina to stepowa, pozbawiona zupełnie większych drzew, lasów, której jedyną osłoną rzadka, chuda trawa, oraz nizkie osty i chwasty.

Na takiej monotonnej powierzchni zwraca przeto żywszą uwagę niezmierna ilość kopców nagich, coś w rodzaju naszych kretowisk: sterczą one, jak drobne piramidy, ubite mocno z ziemi, a zakończone u szczytu otworem w kształcie lejka regularnego. Te kopce to budynki mieszkalne „psa stepowego". Niekiedy tworzą one grupy, złożone z kilkudziesięciu, najwyżej kilkuset kopców, tuż jeden obok drugiego, w pewnej, stale zachowywanej oddali zawsze stawianych. To są mniejsze lub większe wsie psiego rodu stepowego; niekiedy wyrasta naraz na szerszej przestrzeni grupa, złożona z kilku tysięcy kopców — to „psie miasta". Zanim zapoznamy się ze stolicą samą, przerastającą ilością budynków i mieszkańców tysiąckrotnie wszystkie inne miasta psie i miasteczka, przyjrzyjmy się bliżej samemu „psu stepowemu".

Pies stepowy, *Cynomys ludovicianus*, nie jest wcale psem, nie jest też zupełnie mięsożernym. Jest to pewien rodzaj gryzonia, przypominający raczej świnkę morską większą, dużego szczura, albo nawet naszego kota. Długość jego ciała wynosi około 35 ctm. Pokryty futerkiem miękkiem i gęstem, robi wrażenie krótkiego i okrągłego stworzonka, które, mimo kształtów niezbyt wiotkich, umie ruszać się nadzwyczaj zwinnie i swobodnie, z niesłychaną szybkością znika w głębi swego mieszkania, gdy zwietrzy niebezpieczeństwo. Całość zwierzątka jest wprost komiczna: wesołe, w ciągłym ruchu, z żywą gestykulacyą głowy, o krótkich, jakby obciętych uszkach, przysiada bezustannie na tylnych łapkach, ażeby widzieć wyżej i dalej, przyczem wyciąga śmiesznie szyję w zabawny sposób, poruszając sumiastym wąsem i krótkim ogonkiem. Bardzo towarzyski nie cierpi samotności, lecz szuka jedynie towarzystwa „równych" sobie - braci, krewnych i rodaków z tej samej wioski lub ulicy sąsiedniej. W ich gronie jest mu dobrze, wesoło. Powagi nie znosi, najmilsza zabawa przeto: to wyścigi, igrzyska w skokach, mocowanie się za bary, i tańce. Pomysłowym w tym kierunku jest niezmiernie, i niejeden aranżer naszych balów mógłby pozazdrościć „psu stepowemu" fantazyi bujnej w układaniu coraz to innych, coraz to nowych figur tanecznych.

Zresztą trzeźwi Amerykanie zaczynają psom stepowym zazdrościć ich rozległych posiadłości, ich ziem i włości obszernych, które przecież pożyteczniej dla ludzkiego społeczeństwa możnaby zużyć, niż pozosta-

wiając je i nadal we władaniu nieograniczonem piesków.

A pieski rozsiadły się nie na żarty na przestrzeniach istotnie olbrzymich. Osady ich bywają, jak to już wspomnieliśmy, różnej wielkości. Są liche „wioski", w których nie naliczyć więcej pomieszkań-kopców, nad dziesięć do dwudziestu: ale takie posterunki, jakby „stracone", są bardzo rzadkie; najczęściej napotykają się osady, zajmujące przestrzeń 2 do 3-ch hektarów ziemi; nierzadkie jednak są miejscowości, które liczą mieszkańców na tysiące, ba, na setki tysięcy, i które zajmują swemi zabudowaniami nieraz przestrzeń wcale pokaźną, bo 200 do 300 wiorst kwadratowych.

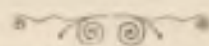
Najpotężniejszą jednak kolonią społeczeństwa psów stepowych to miasto zapewne stołeczne, miasto wprost monstrualnie olbrzymie, leżące w Texas. Czterysta wiorst na długość, a dwieście mniej więcej na szerokość, ciągną się ulice i uliczki, place, zaułki i przedmieścia tej stolicy; razem więc zajmują 80 tysięcy kwadratowych wiorst, t. j. więcej, niż niejedno księstwo samodzielne, niejedno królestwo w Europie. Uczony zoolog, a historyograf tego państwa, dotychczas prawie że nieznanego zupełnie, przyjmuje na podstawie szczegółowych badań, że na jednym hektarze mieści się przeciętnie około 50 kopców, a więc na całej przestrzeni musi mieszkać około 400 milionów psów stepowych! Czemże wobec tych rozmiarów, wobec tych cyfr, wszystkie nasze miasta olbrzymie, „ludzkie"? czemże Londyn, Nowy York, Pekin?

Psy stepowe nie oddalają się nigdy zbyt daleko od swych mieszkań, dlatego muszą mieć i środki do wyżywienia zawsze tuż pod ręką,—w najbliższej okolicy domu; stąd też mieszkania te są rozrzucone rzadko, by każdy ojciec rodziny wraz z nią mógł wyżyć z obszaru „własnego folwarku", tu też wytłómaczenie, dlaczego na jednym hektarze zaledwie 50 osobnych kopców-mieszkań. A i tak, mimo tę administracyjno-ekonomiczną przezorność w sposobie osiedlania się i wywłaszczania ziemi, pies stepowy musi nieraz bardzo ciężkie przechodzić chwile w swem życiu, tak wesołem zresztą. Na wiosnę w każdym kopcu żyje tylko jedna para, małżeństwo — psy stepowe praktykują bardzo ściśle monogamię — w ciągu lata rodzina nieraz składa się z 8 do 10 członków, a ku jesieni dom coraz bardziej pustoszeje: śmierć naturalna lub przypadkowa z ręki mnóstwa czyhających wrogów, zimna, deszcze, głód, a wreszcie zakładanie osobnych nowych ognisk rodzinnych, sprowadzają tę liczbę znowu do *minimum* do jednej pary.

Zwierzątko to ma przyzwyczajanie bardzo skromne. Lubi klimat i ziemię suchą, lubi słońce, lubi grunt pod nogami pewny, stateczny, więc unika starannie wszelkich moczarów i bagien, i o ile tylko może, ucieka od wody, od rzek, jaknajdalej; na suchych przestrzeniach bezwodnych zakłada swe kolonie. Żywi się roślinami, korzonkami, ziarnami, a w razie potrzeby, nie pogardzi muchą i owadami. Naturalnie, kiedy zapobiegliwy człowiek posuwa swe zagony rolne, uprawne, aż w bliskie sąsiedztwo państwa psów stepowych, to nie omieszkają one korzystać z pracy ludzkiej, i niewiele myśląc o następstwach, pożerają z apetytem kukurydzę i inne zboże. I tu oto punkt pierwszy, główny do nieporozumień między społeczeństwem wesołych piesków a rolnikami amerykańskimi. Ten apetyt na cudzą pracę wywołał srogi gniew rolników, którzy domagają się dziś na seryo zupełnego zburzenia państwa psiego i wytępienia co do nogi, całego tego rodu, żyjącego weselem i pląsami pod Horacyuszowem hasłem: *Carpe diem!*

Lecz przypatrzmy się uważniej mieszkaniu tego towarzyskiego stworzenia. Na zewnątrz przedstawia się bardzo skromnie, jako kopiec ziemny, wyniosłości około pół metra, u dołu w średnicy półtorametrowej, ma on u samego szczytu lejkowaty otwór, prowadzący do wnętrza. Ściany zewnętrzne są ubite mocno z ziemi, tak, że tworzą niejako skorupę twardą, jak ziemia wydeptanej dobrze, ścieżki ludzkiej. Uskuteczniają to psy stepowe, tłocząc ziemię nosem, który też ma wyraźne bardzo ślady spłaszczenia, skutkiem takiego zastosowania. Na zewnątrz porządek panuje wzorowy. Można też często obserwować psa naprawiającego lejek krateru i odmiatającego najmniejszą trawkę. Osobliwie przed deszczem praca bywa natężona i dokładna: chodzi tu o zabezpieczenie kryjówki przed wciskaniem się wody do wnętrza. W obawie przed deszczem, przed zalewem, szukać należy powodu ubijania twardego ścian zewnętrznych i wyrywania wszelkiej trawki i korzonków ze zboczy kopców; w ten sposób nie mogą się tworzyć niepotrzebne kanały, zbierające wodę.

(Dok. nast.).



Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Ciąg dalszy).

22 lutego. Szarzeć poczynało, gdy wyszliśmy z obozu i podjęli o paręset kroków od niego, świeży trop całego stada słoni.

Nie uszliśmy pół mili za śladem, gdy trzask gałęzi wskazał nam, że słonie są niedaleko.

Zmieniłem ekspres na gruby kaliber i z bijącem sercem sunąłem cicho za Abantim; za mną szedł Soult, Maulan i Ferek ze strzelbami.

Łomot gałęzi wciąż wyraźnie nas dochodził; wreszcie ujrzałem wierzchołki drzew i krzewów, gwałtownie się poruszające.

Słonie tuż obok.

Jeszcze kilka chwil piekielnej emocyi. Leziemy na czworakach w ciemnym gąszczu.

Wtem Abanti ręką wskazał przed siebie i na bok się usunął, zostawiając mi wolny przechód. Podlazłem jeszcze parę kroków naprzód i w głębi gąszczu, nie więcej, niż o osiem kroków od siebie, ujrzałem siwą masę ogromnego zwierzęcia, stojącego ku mnie na poleć. Gdyby nie to, że trąbą wciąż za gałęzie chwytał i gwałtownie niemi poruszał, byłbym może przeszedł tuż obok, nie zauważywszy, że słoń koło mnie stoi.

Emocya mnie dławiła; nieco za szybko wypaliłem, mierząc w łeb, między ucho a oko.

Grzmot strzału, dym, ryk, trzask gałązi, oszołomiły mię nieco; nie wiedziałem, co się ze słoniem stało. Niemal bezwiednie podbiegłem kilka kroków naprzód ku jaśniejszemu miejscu, na małą polankę, i w tejże sekundzie dwa słonie z trzaskiem i hukiem na nią wpadły. Byłem od nich nie więcej, niż o sześć kroków. Pierwszy mię zoczył i jakby przystanął — w tejże chwili strzeliłem do niego z lewki. Przewrócił się na bok z rykiem przeraźliwym. Soult, stojący opodal, zamiast mi podać drugi sztuciec, sam z obu luf do leżącego słonia wypalił, ja zaś począłem szukać po kieszeniach ładunków do zmiany. Nim je wszakże włożyć zdołałem, słoń dźwignął się na nogi i sycząc, hucząc i fukając, jak machina parowa, znikł nam z oczu w ciemnym gąszczu dżungli.

Gdy ochłonęliśmy nieco z emocyi, rozpoczęła się rekonstrukcya faktów; pokazuje się, że słoni było pięć. Abanti twierdzi, że pierwszy, do którego strzelałem, też się przewrócił, lecz szybko porwał się i umknął z dwoma innemi w kierunku przeciwnym

od tych, które na polankę wypadły. Oba zatem były postrzelone, lecz, niestety, wiedziałem już z poprzednich opowiadań i opisów, że słoń postrzelony, który jest w stanie na nogi się dźwignąć, prawie zawsze dla myśliwego jest stracony.

Tak też się stało. Szliśmy spory kawał za farbą drugiej sztuki, która nam się wydała silniej strzeloną. Farby po gałęziach było niezbyt wiele, wreszcie ustała zupełnie, trop się skrzyżował i złączył ze świeżemi; musieliśmy dać za wygraną i odstąpić od dalszego szukania.

Smutno mi się zrobiło na sercu po tem pierwszem niefortunnem, z gruboskórcami spotkaniu. Odbyło się ono tak blizko od obozu, że nietylko strzały, lecz i ryk zwierzęcia słyszano w nim wyraźnie, i moja żona, pewna dobrego rezultatu, w parę chwil zdążyła na miejsce zdarzenia, — niestety! po to tylko, by ujemny jego widok skonstatować.

Nie ulega wątpliwości, że obie moje kule nie chybiły wprawdzie celu, lecz nie trafiły w odpowiednie punkta, ogłuszyły tylko chwilowo olbrzymie zwierzęta, nie docierając do mózgu, a zatem nie naruszając życiowych części organizmu. Potwierdza to, co powyżej powiedziałem, że słonia tylko w mózg i nie gdzieindziej, trafić należy, aby go na miejscu powalić.

Dziwnem się może wyda niejednemu myśliwemu, przeglądającemu te kartki, jak można zwierzę notorycznie sprytne i rozumne, jak słoń, podejść na tak blizki dystans, jak się to zazwyczaj zdarza. Niechby kto spróbował w naszych kniejach podkradać się w ostępie do łosia, niedźwiedzia, dzika, a choćby nawet do sarny, lub parkowego jelenia: pryśnie nieraz pierwej, nim myśliwy ujrzeć go zdoła. Kluczem do tej zagadkowej właściwości polowania na słonie jest, zdaje się, to, że słoń dziwnie jest krótkowidzący, nie rozróżnia przedmiotów dalej, niż o kilka kroków przed sobą, i obdarzony od natury znakomitym węchem, polega tylko i wyłącznie na tym ostatnim zmyśle, ale ten wtedy tylko służyć mu jest w stanie, gdy sprzyja wiatr odpowiedni, w przeciwnym zaś razie ustaje władza węchu zupełnie.

Trzask bezustannie łamanych gałęzi, łomot ich poruszeń i wogóle hałaśliwe zachowanie się słoni w kniei, przygłusza wszelki inny szelest i dlatego zwierzę nie dosłyszy szmeru zbliżającego się człowieka i daje mu się podejść tak blizko. Wszystko od wiatru zależy, i najlepszy tropiciel i najwprawniejsi myśliwi nie potrafią zbliżyć się do słonia, jeżeli im wiatr nie sprzyja.

Starego Maulana posłałem, więcej par acquit de conscience, niż z przekonania, na trop słonia, strzelonego pierwszą kulą, sami zaś zwróciliśmy się ku obozowi, t. j. do Iala, dokąd nasz tabor tegoż ranka miał się posunąć.

W braku Abantiego, którego posłałem po zapomniany kapelusz od słońca, tłukliśmy się długo po ciemnej dżungli, nie mogąc należytego kierunku drogi do Iala odnaleźć.

Wtem doszły nas z gęstwiny głosy, zdradzające blizkość nowego stada słoni. Z Soultem, jako jedynym przewodnikiem, puściłem się samowtór w ich kierunku.

Trudno opisać tony, jakie słonie wydają, gdy ich sporo w kupie się zbierze. To przeciągły świst, jakby lokomotywy, to gruby ryk, to głos jakby trąby olbrzymiej, to znowu cienki kwik i syk — zlewają się w koncert, acz nie symfoniczny, lecz conajmniej oryginalny, do którego huk gałęzi i trzask drzew deptanych, stanowi odpowiedni akompaniament.

Podkradliśmy się dosyć blizko, nie mogąc ich dostrzedz, gdy nagle, wychyliwszy się na czyściejsze miejsce, ujrzałem słonia, stojącego nieruchomo na sztych ku mnie. Za nim stał drugi, w oddali czerniał trzeci, czwarty i sporo jeszcze więcej.

Podsunąłem się bliżej, wprost ku słoniowi idąc, na 12 kroków, tym razem spokojnie i z zimną krwią, wymierzyłem nizko w czoło, nad samym trąby zaczątkiem. Po strzale runął, jak stał, aby się więcej nie podnieść. Za nim stojąca, druga sztuka ogromnych rozmiarów, istny kolos, zamiast do ucieczki się zwrócić, podszedł do leżącego towarzysza i trąbą począł go macać i obwąchywać, jakby do wstania go namawiając. Z lewki drugą kulę mu posłałem; przewrócił się w ogniu tuż za pierwszym. Tryumf świetnej dublety zamajaczył mi przed oczyma; niestety, gdy chwytałem drugą strzelbę, by dostrzelić pierwszą, żyjącą jeszcze sztukę, kolos zerwał się, umknął i tyleśmy go widzieli.

Jeden przynajmniej został: pyszna sztuka, średniego wieku byk, dużych rozmiarów. Dziwne uczucie ogarnia myśliwego, nieobeznanego z tą niezwykłą zwierzyną, na widok strzelonego olbrzyma. Radość i właściwe każdemu myśliwemu, może nieco krwiożercze, ale prawdziwe przy każdym rodzaju polowania, uczucie wysokiego zadowolenia z samego siebie na widok upolowanej zwierzyny, a cóż dopiero takiej zwierzyny! — przygłusza, mem zdaniem, wszelkie inne konsyderacye i nie wierzę w szczerość opisów myśliwskich, którzy przy pierwszym swym słoniu rozwodzą się nad bezcelowością tego sportu i okrucieństwem zabijania nieszkodliwych zwierząt.

Kto ma w sobie prawdziwą żyłkę myśliwską, temu podobne refleksye przy ubitym, pierwszym okazie najgrubszego zwierza, do głowy nie przyjdą, a przesyt nastąpić może dopiero później przy częstem powtarzaniu się tego samego rezultatu.

Kto nie widział słonia na wolności, nie może sobie wyobrazić rzeczywistego wyglądu tego zwierza na tle dzikiej kniei; nie podobny on zupełnie do tego słonia o dobrodusznym wzroku i wyrazie, który w menażeryach lub ogrodach zoologicznych bawi spektatorów zręcznością, z jaką wyławia podawane mu bułki i przysmaki. Postawa, ruchy, wzrok, cały wygląd jednem słowem — znamionują dzikość, nieprzepartą siłę i potęgę tego olbrzyma, który tak się ma do swego przyswojonego brata, jak wół, w pługu chodzący, do dzikiego bawołu w ostępie dziewiczej dżungli. Cóż dopiero słoń-złośnik, czyli „rogue", o którym myśliwi mówią, że jest najniebezpieczniejszem i najstraszniejszem stworzeniem na kuli ziemskiej.

Strzelałem dziś rano do 4-ch słoni, w ciągu kilku godzin natrafiliśmy na dwa liczne stada; w drugiem 6 — 8 sztuk być musiało.

Kulisi zbiegli się do leżącego słonia i zaczęło się szczegółowe oglądanie zwierza. Pierwszą mą kulę, która go powaliła na miejscu, dostał nizko w środek czoła.

Gdyby to było w Afryce, byłaby moja kula bezużyteczną, bo wypukła konformacya czoła słonia afrykańskiego chroni go od frontowych strzałów, i kula w czoło zazwyczaj powierzchownie prześlizguje się po skroni, nie dostając się do wnętrza czaszki. Natomiast słoń indyjski ma kość czołową wklęsłą i daje tem samem możność strzału na sztych.

Odnaleźliśmy nie bez trudu ścieżkę, wiodącą do Iala, i w tryumfie przybyli do obozu, przynosząc ogon słonia, który tu zwykle, jako doraźne trofeum, obcinają.

(*C. d. n.*).

Polowanie w Meksyku.[1]

W pierwszych dniach września wyruszyliśmy do gór Sierra de la Paila (gór Słomianych), odległych o 90 mil angielskich od Parras. O jeździe kołowej

[1]) Rodzina p. Gustawa Blocka, rodaka naszego, inżeniera zakładów przemysłowych w meksykańskiej prowincyi Parras, łaskawie za-

w kraju tym myśleć nie można, więc wybraliśmy się konno, prowadząc z sobą odpowiednią liczbę mułów, objuczonych bagażami i znacznym zapasem wody, niezbędnej w tych bezwodnych okolicach.

Wyruszyliśmy o godz. 6-ej rano, spuszczając się wolno ku stacyi Paila, minęliśmy ją również, jak i plantacye bawełny, a pod wieczór już w bezludnym stepie zgubiliśmy drogę. Kto tego nie przebył, nigdy nie zdoła pojąć, jaka to przykra rzecz zbłądzić w takiej jednostajnej pustyni, porosłej jakiemiś marnemi krzakami, w której żadnych śladów drogi odszukać nie można. Tymczasem noc zapadła, ale wspaniała, spokojna i jasna, podzwrotnikowa noc księżycowa. Podczas błądzenia wśród bezdroży, nagle z za krzaków występuje dziki buhaj [2]) i staje w odległości 50 metrów przedemną. Schwyciłem za wiszący u siodła, karabin i już przyłożyłem go do ramienia, gdy mój lassador, czyli jegomość, chwytający dzikie bydło na lasso, zawołał:

— Nie strzelaj pan; zbliżają się jeszcze trzy.

Jakoż wszystkie cztery ustawiły się przed nami w półkole w pozach wyzywających. Wtedy lassador zakomenderował, ażebyśmy wszyscy razem, krzycząc i wywijając nad głowami lassem, rzucili się na byki. Skutek był natychmiastowy. Byki uciekły.

Około godz. 10-ej spostrzegliśmy nareszcie w oddali blask ognia. Puściliśmy się ku niemu kłusem i trafiliśmy na obozowisko Indyan, a ci wskazali nam kierunek do folwarku (rancho), w którym z kaktusów wyrabiają włókna do wyściełania mebli i materaców. Przedostaliśmy się przez bagno, utworzone przez wody deszczowe, i powitani zajadłem szczekaniem całej gromady psów, wjechaliśmy do owego folwarku. Tak byłem rozbity 16-godzinną jazdą z dwoma tylko półgodzinnemi przystankami, że z wielkim trudem zsiadłem z konia.

Nazajutrz o godz. 4-ej byliśmy znów na koniach i skierowaliśmy się po bezdrożach ku najwyższym, widzialnym wierzchołkom gór. W samo południe, pod palącem słońcem, urządziliśmy dwugodzinny popas, nakarmiliśmy konie i muły kukurydzą i ruszyliśmy dalej. O 8-ej wieczorem trafiliśmy na rancho, założone dopiero przed dwoma tygodniami. Właśnie robotnicy-Indyanie pracowali nad sypaniem grobli, mającej zatrzymać wody, spadłe w czasie letnich deszczów. Napoiliśmy tam konie i muły, sami wypiliśmy dla orzeźwienia po szklance wina i puściliśmy się dalej ku górom. Dopiero o samej północy zatrzymaliśmy się na nocleg. Przedewszystkiem rozbiliśmy namiot i zgotowaliśmy kawę, jako jedyny, ciepły posiłek w tej podróży; następnie otoczyłem namiot na 1 metr odległości od niego sznurem z włosia końskiego, dla zabezpieczenia nas od grzechotników; w końcu ułożyliśmy się spać, mając siodła zamiast poduszek, a dery zamiast kołder.

Wstawszy o 5-ej i posiliwszy się kawą i przekąską, zwijamy obóz i puszczamy się w okolice dzikie, zupełnie bezludne. Dolina, którą jedziemy, wznosi się stopniowo, przejeżdżamy pas, zarośnięty wspaniałemi kaktusami i nakoniec stajemy u samego podnóża gór.

Próbowałem dalej jechać konno, ale to okazało się niemożliwem; ścieżkę (jeśli ją tak nazwać można) zalegają ogromne głazy i mniejsze kamienie, usuwające się z pod nóg. Rad nie rad, zsiadłem z konia i poprowadziłem go na arkanie, choć i tak wspinanie się było bardzo uciążliwe i dla mnie i dla konia; co chwila musieliśmy się zatrzymywać, żeby złapać powietrza. Obejrzawszy się raz przypadkiem, spostrzegłem, jak mój lassador, zatoczywszy niewielki łuk w powietrzu, grzmotnął się całą długością na kamienie. To muł czerwony, najmniejszy ze wszystkich, nie mogąc z takim dryblasem na grzbiecie wgramolić się pod górę, zrzucił go zręcznem wierzgnięciem.

— Dobrze ci tak, błaźnie, — pomyślałem — nie bądź wygodnickim i nie męcz biednego zwierzęcia.

Nareszcie, po godzinnej, tak uciążliwej drodze, dostaliśmy się na szczyt. Ztąd roztoczył się przed nami wspaniały widok na dolinę, mieniącą się barwami: zieloną, żółtą i niebieską od zarastających ją traw i kwiatów; z obydwóch stron, na wzgórzach, rosły przepyszne cedry i sosny amerykańskie. Naraz, na odległość strzału, spostrzegam umykającego w góry, jelenia; zeskakuję więc z konia i puszczam trzy kule, lecz bez rezultatu.

— Dawaj trójlufkę z lunetą — wołam na chłopca.

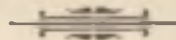
Strzelam z niej czwarty raz i jeleń pada.

Początek zrobiony, dobry znak.

Spuściwszy się w dolinę, wybraliśmy miejsce na obozowisko wśród grupy wyniosłych drzew. Namiot prędko został rozbity, na około niego przywiązano na lassach konie i muły, nakoniec przejrzeliśmy starannie sąsiednie krzaki dla sprawdzenia, czy nie ukrywa się w nich jaka dzika bestya, mogąca nam spłatać nieprzyjemnego figla. Było to w samo południe. Nic nie znalazłszy, rozciągnęliśmy się po indyjsku na trawie, używając nareszcie tak zasłużonego spoczynku i naradzając się, co zrobić z zabitym przezemnie jeleniem; postanowiono obciągnąć go ze skóry, a najlepsze części mięsa, upieczone po indyjsku, spożyć na wieczerzę. Głodnemu i taka pieczeń, pomyślałem, powinna smakować.

A. Sztolcman.

(*Dok. nast.*)



DZIEŁO SCHILLINGSA

o zwierzynie na wolności.

(*Streszczenie*).

III. Umysł zwierzęcy.

Indyjski słoń, złowiony w późnym, dojrzałym wieku, po kilku tygodniach przyzwyczaja się do swego pana i pogromcy, stając się powolnem jego narzędziem. Książę Pless opowiada, że „mahutowie", przewodnicy słoni indyjskich, rozumieją około 100 „zwrotów" słoni, które wyrażają swą wolę pewnemi ruchami lub wydawaniem głosu; jednocześnie słonie te rozumieją prawie wszystko, co „mahut" mówi do nich.

Chcąc sprowadzić do Europy nosorożca, ubiłem matkę, a do młodego wziąłem kozę afrykańską. Nosorożec tak się do niej przyzwyczaił, że nie opuszczał jej całe życie, prowadząc się z nią i z jej potomstwem. Zabawna to była kompania olbrzymiego zwierza z dwiema drobnemi kozami. Trójkę tę sprowadzono potem do berlińskiego ogrodu zoologicznego i wówczas niektórzy, niezbyt mądrzy berlińczycy, tłómaczyli dzieciom, że w zagrodzie przebywają „trzy" nosorożce; sądzili widocznie, że młodziutki nosorożec podobny jest do kozy..

Autorowie niektórych książek twierdzą, że nosorożce są zwierzętami głupiemi i źle się rozwijają umysłowo. Praktyka jednak przeczy temu. Wychowany przezemnie nosorożec, przywiązał się do mnie i chętnie mi towarzyszył; po upływie zaś dłuższego czasu przebywania w ogrodzie zoologicznym, poznawał mnie za każdym razem, gdy się tam zjawiłem, i wyróżniał mnie z pośród tysiąca innych zwiedzających!

---

komunikowała nam list, w którym p. Block opisuje wyprawę myśliwską w góry Sierra de la Palla. Korzystając z upoważnienia, podajemy czytelnikom naszym odpowiednie ustępy wspomnianego listu.

(*Przyp. Red.*).

[2]) Mowa tu o dzikiem bydle rogatem, pochodzącem od domowego bydła, sprowadzonego niegdyś przez Hiszpanów z Europy, a następnie zdziczałego. (*Przyp. Red.*).

U nosorożców szczególnie jest rozwinięty zmysł miejsca, pozwalający im oryentować się szybko i dokładnie w każdej miejscowości i trafiać najkrótszą drogą do najbardziej oddalonego zbiornika wody w stepach.

Młody słoń tak się do mnie przywiązał, jak małe dziecko; niestety, zdechł on młodo, ponieważ nie miałem dla niego bydła mlekodajnego. Moje oswojone pawiany szalały z radości, ujrzawszy mnie, wracającego do obozu z dalekiej wycieczki; radość swą okazywały już wtedy, gdy moja sylwetka rysowała się na widnokręgu zdaleka, jak drobny punkcik zaledwie. Miały zatem bez porównania lepszy wzrok, niż człowiek.

O niepowszednim rozwoju umysłowym pewnego ptaka świadczy jego nazwa „filozof". Gatunek ptaków „Marabut" przyzwyczaił się do mnie tak bardzo, że nie chciał mnie odstąpić. Początkowo złowiłem kilka starych osobników z ogromnemi trudnościami i podejściem, potem jednak tak się oswoiły i przywiązały do mnie, że do dziś dnia jeden z nich, przebywający w Berlinie, poznaje mnie, gdy przychodzę do ogrodu zoologicznego. Takie oswajanie kosztuje oczywiście dużo pracy i zachodów, gdy mamy do czynienia ze zwierzyną upartą, samowolną i pełną temperamentu. Tygodniami i miesiącami trzeba im siłą wkładać do pyska kawały mięsa, zanim się zdecydują same brać pokarm; trzeba je osobiście pielęgnować i często z niemi przebywać razem. Gdy jednak udaje nam się w końcu przezwyciężyć opór, mamy stokrotną nagrodę za swe trudy, uzyskawszy w zwierzęciu istotnego przyjaciela.

Ujarzmienie „Marabuta" dało mi tem większą satysfakcyę, że nie miałem do czynienia z jakąś hodowlą młodych ptaków, lecz z oswojeniem starych, liczących 30, albo 40 lat życia. Marabut bowiem żyje bardzo długo, podobnie jak wielkie ptaki drapieżne, sępy, z których jeden żył 100 lat w niewoli i we wcale niepomyślnych warunkach.

Moje Marabuty, nieskrępowane, uwijały się swobodnie po obozie, budowały sobie gniazda i z okrzykiem radości witały mój powrót do domu, pieszcząc mnie swemi potężnemi dziobami. Nawet gdy mój czarny kucharz zajął się ich karmieniem, nie przestały mi okazywać dowodu swego przywiązania. Dr. Ludwik Heck, który miał sposobność obserwowania tysięcy ptaków, nie mógł się dość nadziwić, ujrzawszy, jak mój Marabut jest do mnie przywiązany.

Gdyby ludzie się zastanawiali nad inteligencyą wielu zwierząt, której nie doceniają, to może nie byliby tak względem nich okrutni i nie tępiliby ich tak bezwzględnie, jak to się dzieje obecnie, i wskutek czego ginie wiele gatunków cennych. Między innemi ulega temu smutnemu losowi także bardzo inteligentny słoń afrykański.

Ilustracye rozdziału III: 1) „Nasze bociany północne, jako goście zimowi w Masai – Nyika". 2) „Fatuma", mój mały nosorożec, rychło mnie pokochał nadzwyczajnie". 3) „Moje Marabuty, złowione w późnym wieku, zaprzyjaźniły się szybko z moim, szczególnie „mpiszy", kucharzem...". 4) Podczas przykrych tygodni mojej ciężkiej choroby obłożnej, miałem uciechę i rozrywkę, na widok mych oswojonych, młodych ptaków „Nienasyconych" (*Tantalus ibis L.*), które biegały swobodnie po obozie...". 6) „Moje Marabuty, złowione w późnym wieku, biegały swobodnie po obozie, utrzymując dobre stosunki przyjaźni z sępami...".

J. Kamieniusz.

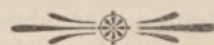


Próby polowe wyżłów.

Doroczny konkurs wyżłów odbył się w roku bieżącym w dniu 7-ym września na polach folwarku Służewiec, udzielonych grzecznie przez hr. Ksawerego Branickiego. Wydział hodowli psów myśliwskich przy Warsz. Tow. prawidłowego myślistwa, zajmujący się urządzaniem tych konkursów, wprowadził w tym roku ważną zmianę, a mianowicie, zamiast dzielić psy próbowane na „starsze" i „w pierwszem polu", podzielił je na dwie klasy: psów angielskich (nagrody: 100, 60 i 30 rubli), oraz psów niemieckich i innych ras (nagrody: 75, 40 i 25 rubli). Podział ten rozróżnia właściwie psy o szerokich chodach (*a grande quête*) od psów o krótkich chodach (*a petite quête*) i jest stosowany we wszystkich zagranicznych field-trialach.

Do konkursu tegorocznego zapisano psów 12, z nich jednak na polu Służewieckiem stawiło się tylko 9, których próbowanie rozpoczęło się około godziny 8-ej rano.

Dzień wypadł fatalny: silny, zachodni wiatr, napędzający od czasu do czasu nawalnicę deszczową, utrudniał bardzo robotę psów. Z tem wszystkiem komitet sędziów w osobach p. Jana Sztolemana (przewodniczącego), Władysława Starzyńskiego i Wacława Paszkowskiego już po czterogodzinnej próbie mógł ogłosić wyrok. Powodem tak szybkiego załatwienia konkursu była ta okoliczność, że wszystkie zaprodukowane okazy, z wyjątkiem jednego, okazały się psami młodemi, w pierwszem polu, niedostatecznie ułożonemi. Jedne rzucały się po strzale, inne goniły nawet zwierzynę, a były też między niemi i takie, które zdradzały brak zasadniczych zalet psów myśliwskich, jak np. wiatru. W rezultacie sąd orzekł, że tylko jeden z próbowanych psów, a mianowicie niemiecki wyżeł, „Mylord" p. Wiktora Szostaka, zasłużył w drugiej klasie na drugą nagrodę (40 rubli). Jest to ten sam czarny, tarantowato-łaciasty wyżeł, który w roku bieżącym znajdował się na wystawie psów, urządzonej przez Warsz. Tow. prawidłowego myślistwa. Pies ten wykazał bardzo staranny sposób szukania, dobry wiatr i doskonałą tresurę. Strzelcowi, Józefowi Piotrkiewiczowi, układającemu „Mylorda", przyznano drugą nagrodę dla strzelców (15 rb).



Konkurs strzelców niemieckich.

(Rozbiór krytyczny).

Od d. 5 do 7 lipca r. b. odbywał się siódmy wielki konkurs strzelców niemieckich, o którym pisaliśmy krótko swojego czasu w rubryce „Drobiazgi myśliwskie". Obecnie przytaczamy w streszczeniu nader pouczający rozbiór krytyczny, podany w „Schiesswesen" przez wybitnego strzelca zawodowego, A. Preussa.

Jednym z najważniejszych punktów regulaminu strzelania konkursowego do gołębi glinianych, był paragraf 8-y, który opiewał:

„Broń i amunicya. Największym kalibrem dopuszczalnym jest kal. 12. Nie wolno używać grubszego śrutu, niż $2^{1}/_{4}$ mm. średnicy, jak również silniejszego ładunku śrótowego, niż 36 g; uchybienie temu przepisowi pociąga za sobą wykreślenie uczestnika z listy strzelców".

Co do tej sprawy, należy przypomnieć, że w r. 1901-ym w Anglii odbył się wielki match strzelecki

między 10-iu Amerykanami a 10-iu Anglikami; strzelano do gołębi glinianych. Amerykanie żądali, żeby Anglicy strzelali także podług prawideł amerykańskich, dając tylko jeden strzał do każdego gołębia; Anglicy na to się nie zgodzili. W końcu zgodzono się na to, że Anglicy dadzą po *dwa* strzały do gołębia, ładując za to tylko 32 g. śrótu do naboju, Amerykanie zaś użyją 35 g. śrótu, dając tylko po jednym strzale. Anglicy przegrali pojedynek. Na polowaniu różnica jakich 5 g. w ładunku śrótu nie daje się odczuć, a można nawet twierdzić, że zarówno dobrze strzela się kury kalibrem 16, jak kal. 12. Przy strzelaniu jednak konkursowem do stu gołębi, gdzie przecież jeden strzał trafny rozstrzyga niekiedy cały konkurs, różnica taka ma istotnie ważne znaczenie. Szerszy ogół nie pojmie tak subtelnej różnicy, sądząc o tem, jak laik na wyścigach o większem obciążeniu konia o 1 kg. Przykład jednak w postaci małego rachunku mówi nam zupełnie co innego. Do 100 gołębi wystrzela się około 150 naboi. Jeżeli strzelec ładuje 38 g. śrótu przeciw 33 g., to wystrzeli na 150 naboi o 750 g. śrótu = 7,500 ziaren, czyli 23 naboi więcej, niż jego konkurent! Oczywiście, że ma przez to przewagę. Słusznie też robi się różnicę między kal. 12 a kal. 16, dając ostatniemu przewagę 1 m. Przyczyną tego nie jest kaliber, lecz ładunek śrótowy, lżejszy o 5 g. Gdzie chodzi o wysoką nagrodę, a jeden gołąb trafiony rozstrzyga, tam trzeba szanse zrównać, żeby decydującą była jedynie sprawność strzelców.

Następnie zastanawiano się nad sposobem określania. Zazwyczaj używa się specyalnego przyrządu do mierzenia ładunku śrótowego. Musi on koniecznie być ograniczony; miara normalna jest 36 g. Na zebraniu stwierdzono, że częstokroć strzelec nie wie wcale, ile śrótu zawierają naboje, sprowadzone od fabrykanta. Ale za tę nieświadomość odpowiadać musi strzelec, gdyż powinien żądać wyraźnego określenia, do którego fabrykant będzie miał obowiązek się stosować.

Pierwszego dnia zaczęto strzelanie o godz. 8-ej rano. Głównym punktem konkursu tego dnia była walka o mistrzostwo. Brało w niej udział 28 strzelców. Do wyrzucania gołębi używano trzech maszyn Preussa. Ciekawe były uwagi publiczności, przypatrującej się strzelaniu konkursowemu mistrzów. Zwykle oczekuje się od nich szczególnej umiejętności. Słyszano też śród widzów zapytanie: „Czy teraz będzie strzelał mistrz? Bardzobym chciał widzieć, jak on strzela?" Wielu widzom naiwnym zdawało się, że mistrz strzelecki wyprawia sztuki cyrkowe przy strzelaniu. Wszyscy tacy widzowie doznali rozczarowania, oczywiście. Popisy cyrkowe bowiem nie mają nic wspólnego z prawdziwą sztuką strzelania, z umiejętnością dobrego wyszkolenia i uzdolnienia. Mistrz strzelecki może swą przewagę i zalety wykazać dopiero po długim szeregu strzałów, a jeżeli strzelec na 100 gołębi spudłuje 19 lub 20, to jeszcze jest dobrym strzelcem. A przytem zdobycie mistrzostwa na konkursie nie znaczy jeszcze, że nagrodzony jest istotnie najwybitniejszym w kraju strzelcem.

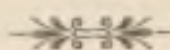
(*Dok. nast.*).

ZE SZWAJCARYI.

(Związki strzeleckie.— Szanowanie prawa myśliwskiego).

Liczba związków strzeleckich, które przysłały w ostatnim roku swe sprawozdania do rady związkowej, celem otrzymania subwencyi rządowej, wynosi 3,694, względnie 38 więcej, niż w roku poprzednim. Liczą one 220,147 członków (w roku poprzednim 218,815). Suma udzielonego subsydyum rządowego uczyniła 340,335 franków (w roku poprzednim 329,221 fr.). Prasa miejscowa poruszyła niedawno projekt, ażeby jeszcze więcej popierać dobrowolne ćwiczenia strzeleckie tych członków, którzy należą do wojska szwajcarskiego; a to w taki sposób, żeby im oddawać amunicyę po niższej cenie, niż tym, którzy nie są zdolni do służby wojskowej. W każdym razie nawet zwyczajne towarzystwa sportowe oraz miłośników sztuki strzeleckiej otrzymują od rządu amunicyę po cenie kosztu.

Ciekawą kwestyę ma rozstrzygnąć niebawem szwajcarska Rada Związkowa. Chodzi o „menu" obiadu oficyalnego w Caux, wydanego dnia 23 czerwca r. b. na cześć członków międzynarodowej konferencyi genewskiej (Czerwony Krzyż), a właściwie o jeden jego punkt: „Cassolettes de cailles à la Jeannette", o potrawę z przepiórek. Polować w czerwcu na przepiórki i inne ptactwo dzikie nie wolno według ustaw łowieckich wszystkich państw, w Szwajcaryi, wedle ustawy związkowej z dnia 24 czerwca 1905 r. A więc naruszenie ustawy przez najwyższych stróżów prawa! — wołają dzienniki — oto dobry przykład z góry! Rada Związkowa powinna była „menu" uważnie zbadać, a wnioskodawcę-kucharza skazać na grzywny. Interpelującej prasie prezydent Rady, p. Forrer, tłumaczył się przez usta generalnego inspektora lasów, że „menu" obiadu w Caux nie czytał, a spożywając wraz z gośćmi przepiórki, nie przypuszczał nawet, że narusza ustawę łowiecką, której szczegółów nie zna dokładnie, jako niemyśliwy. Rozpoczęte śledztwo wykaże, kto zawinił w sprawie, będącej dziś, dzięki prasie, powszechną sensacyą w Szwajcaryi.



Z żałobnej karty.

W d. 9 b. m. zmarł w Warszawie **ś. p. Aleksander Rembowski**.

Urodzony w 1847 r. w Klonowie, w Kaliskiem, studyował prawo w b. Szkole Głównej, a następnie przez trzy lata słuchał wykładów w Uniwersytecie w Heidelbergu. Od 1872 r. datuje się jego działalność pisarska. Poświęcił ją głównie przeszłości dziejów naszych, które zgłębiał źródłowo, a płodne jego pióro przysporzyło niemało dzieł, stawiających autora w rzędzie najpierwszych naszych uczonych i publicystów. Do tej kategoryi prac zaliczyć należy: „Stanisław Leszczyński jako statysta", „Rokosz Zebrzydowskiego", „Historya pułku szwoleżerów", „Historya ruchu wieczysto-czynszowego" i wiele innych. Obok tych dzieł „Biblioteka Warszawska", „Tygodnik Ilustrowany", „Słowo", „Kuryer Warszawski" stale zamieszczały liczne, drobniejsze studya i krytyki dzieł historycznych, pióra ś. p. Rembowskiego. Jako długoletni bibliotekarz księgozbioru Krasińskich w Warszawie miał on bezpośredni dostęp do źródeł dziejowych, z których z wielkim talentem korzystać umiał.

Chwile swoich wczasów ś. p. Aleksander Rembowski poświęcał chętnie myślistwu, któremu oddawał się z zamiłowaniem. Redagował przez lat parę „Kalendarz Myśliwski", wychodzący nakładem ówczesnej firmy B. Ronczewskiego, dopóki redakcya tego rocznika nie przeszła w ręce p. Jana Sztolcmana, od którego przejęła ją redakcya „Łowca Polskiego". Dla pisma naszego ś. p. Aleksander Rembowski streścił pełen wdzięku „Rok myśliwca" Bartelsa, który drukowaliśmy w odcinkach „Łowca Polskiego" przed paru laty.

Człowiek charakteru nieskazitelnego, prawości niezłomnej, żywiołowo nienawidzący wszystko, co złe i podłe, mało dbały o formy, a zawsze pełen myśli treściwej a zacnej, zszedł z tego świata, pozostawia-

jąc serdeczny żal wśród licznych przyjaciół, mnóstwa zwolenników jego świetnego talentu pisarskiego, który dla kraju i nauki umilkł za wcześnie.

Z.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 5 września. Ryski Oddział Cesarskiego Tow. praw. myślistwa zawiadamia, że konkursy polowe wyżłów wyznaczył na d. 11 i 12 b. m. Rada postanowiła wysłać dla właścicieli najlepszych psów 3 żetony: złoty, srebrny i bronzowy.

P. Robert Ziegler, właściciel warszawskiej strzelnicy, zawiadamia Radę, że z rozporządzenia warszawskiego Generał-Gubernatora działalność strzelnicy zawieszoną została, prosi przeto, ażeby Rada poczyniła starania, aby konkursy strzeleckie naszego Oddziału, wyznaczone na dzień 15 września, mogły się odbyć. Rada postanowiła przedewszystkiem odwołać termin rozpoczęcia konkursów, a następnie przychylić się do żądania p. Zieglera. Po uzyskaniu odpowiedniego pozwolenia termin rozpoczęcia konkursu ponownie zostanie ogłoszony.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki)

Dnia 20 b. m. odbyło się polowanie u p. Stanisława Leskiego na obszarze Psary-Skłudy. Ogółem w kilka strzelb ubito 120 kuropatw i 2 zające.

Wykazy Myśliwskie.

Podług urzędowych wykazów ubito w roku zeszłym w 18 komitatach węgierskich razem 1,860,230 sztuk zwierzyny. Z tego przypada na zwierzynę użyteczną: 5,232 jeleni, 1,575 łań i cieląt, 13,736 sarn, 113 gemz, 37 muflonów, 4,216 dzików, 616,215 zajęcy, 37,560 królików i 1,404 różnej zwierzyny sierciowej, 867 głuszców, 139 cietrzewi, 4,498 jarząbków, 90,950 bażantów, 306,890 kuropatw, 55,863 przepiórek, 4,201 derkaczów, 6,198 gęsi, 55,209 kaczek, 1,308 łysek, 1,023 dropi i żórawi, 17,673 słonek, 9,961 bekasów, 15,993 gołębi, 10,582 kwiczołów i innych ptaków, razem użytecznych 1,377,967 sztuk. Z drapieżników ubito: 153 niedźwiedzi, 2,017 borsuków, 584 wyder, 45 rysiów, 297 wilków, 1,693 żbików, 27,577 lisów, 2,721 kun, 9,482 tchórzy, 22,571 łasic, różnych 13,673 sztuk, dalej 7,609 orłów i jastrzębi, 72,277 sokołów i krogulców, 212,102 wron, 36,794 różnych, a pozatem 47,536 kotów.

Drobiazgi myśliwskie.

Doroczne konkursowe strzelanie o nagrodę Cesarską Oddziału gwardyjskiego Warszawskiego okręgu wojskowego, odbyło się w dniu 17 sierpnia na poligonie Górczewskim. Strzelano z karabinów wojskowych armii rosyjskiej, oraz z rewolwerów ordynansowych (systemu Nagana). Z karabinów strzelano na 200 arszynów, a z rewolwerów na 25 ar. Obie pierwsze nagrody zdobył kap. Aleksander Żabczyński z Petersburskiego pułku gwardyi, przyczem w konkursie karabinowym otrzymał 19 kwadratów *(in minus)*, a mianowicie: 1, 1, 2, 2 i 3. Jest to *minimum* dotychczas wystrzelonych kwadratów w cesarstwie Rosyjskiem, dzięki czemu kap. Żabczyński staje się championem w strzelaniu z karabina wojskowego na całe państwo Rosyjskie. Z rewolweru zaś kap. Żabczyński wystrzelił sumę kwadratów 13 (również *in minus*), a mianowicie: 0, 0, 1, 2, 2, 2.

Niefortunny myśliwy. Pod Lublinem zdarzył się straszny wypadek: Dwunastoletni syn kasyera Banku państwa, Rudenko, strzelając z karabinka flowerowego do wróbli, skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z bronią, trafił w przypadkowo przechodzącego ojca. Strzał był fatalny: nabój trafił w serce i zabił Rudenkę—ojca na miejscu.

Dział myśliwski na wystawie finlandzkiej. W sierpniu urządzono na północy Finlandyi, w Kuopio, wystawę rolniczą, która miała bogaty dział leśno-myśliwski. Lasy stanowią w Finlandyi największe źródło bogactwa; wywóz desek i pali przeważnie do Anglii daje 165 milionów marek rocznie; prócz tego z masy drzewnej wyrabiany jest papier do maszyn rotacyjnych, w który Finlandya zaopatruje całe państwo Rosyjskie. Lasów jest jeszcze tyle, że tymczasem ochrona leśna okazała się niepotrzebną. Pomimo to, tam, gdzie są torfowiska, już przewidują brak drzewa i wyrabiają specyalne cegiełki prasowane, torfowe, do budowy domów. Torf jest także przerabiany na ściółkę dla bydła. Dział leśny wystawy—to zupełny obraz fauny i flory Finlandyi; obejmuje on także myślistwo, oraz wystawę pięknych futer, do niebieskich lisów, oraz niedźwiedzia burego i białego. Ciekawe są bardzo wyroby ze skóry, z futra i kości renifera, tego zwierzęcia domowego Lapończyków, zamieszkujących całą północną część Finlandyi i powyżej Torneo; renifer zaspakaja wszystkie ich potrzeby: mięso i mleko służy za pokarm, skóra i futro na ubranie, kość na narzędzia domowe. W zestawieniu z surowością klimatu, z obrazami nieskończonych równin śnieżnych, które rysuje wyobraźnia, dziwnie wygląda strój lapońskich, zdobny w różnokolorowe ozdoby i brzękadełka.

„Niebezpieczna broń“. Powracający z Paryża na Syberyę, inżynier, p. P., na komorze celnej w Granicy zadeklarował pomiędzy innemi przedmiotami, zabawkę dziecięcą, w postaci pięknie odrobionej strzelbki sprężynowej. Urzędnicy komory uznali za właściwe przedmiot ten zakwestyonować, uważając, iż jest to „broń“, której teraz przewozić przez granicę nie wolno. Na nic się nie przydały przekładania właściciela strzelbki, iż jest to zabawka niewinna, której nie można użyć do żadnych innych celów. Strzelbkę nakazano pozostawić na komorze. Pan P. zmuszony był dopłacić 3 rb. na koszta przesyłki zabawki z powrotem do Paryża.

O żubrze kaukazkim zamieszcza ciekawy artykuł bałtycka gazeta myśliwska. Autor pisze między innemi: „Żubr przebywa teraz jeszcze tylko na małej przestrzeni okręgu kubańskiego, naturalnie w jego części górzystej. W nieznacznej liczbie spotyka się go w dolinie Sagdan, Wielkiej Łabie i Urusztenie, licznie natomiast nad rzeką Białą. Bardzo trudno jest ujrzeć wyrosłego żubra ponieważ jest niezwykle płochliwy i ostrożny. Usłyszawszy najmniejsze poruszenie, albo przejąwszy odwiatr człowieka, uciekają bez wytchnienia dzień cały, a nawet kilka dni z rzędu. W tej nadmiernej bojaźliwości widzieć należy instynkt zachowawczy wymierającego gatunku. Wolą zawsze przebywać w dzikiej okolicy, dla nikogo nieprzystępnej. Polowanie w całym tym okręgu należy do Jego Wysokości Wielkiego Księcia Sergiusza Michałowicza. On tylko strzela do żubrów i jego goście na polowaniach, urządzanych na jesieni, lecz nie każdego roku. Żubr był jeszcze w połowie ubiegłego

wieku o wiele bardziej rozpowszechniony na Kaukazie, niż obecnie. Zimową porą żubr schodzi do dolin, opasanych łańcuchem gór, lecz nigdy się nie zbliża do siedziby ludzkiej".

Foki w morzu Czarnem. Myśliwy amerykański, Camillo Morgan, polujący w Rosyi, pisze o fokach: Podczas, gdy morze Kaspijskie posiadało zawsze swoisty gatunek fok, psy morskie, morze Czarne uważane było za pozbawione tej zwierzyny, przynajmniej w ostatnich dziesięcioleciach; w 1850 r. bowiem widziano dużo psów na wyspach tego morza. Tymczasem w niektórych pismach europejskich podano niedawno jako sensacyę, fakt, że w marcu r. b. rybacy bulgarscy złowili młodą fokę, co miało być czemś tak niezwykłem, że zdobyte zwierzę ofiarowali księciu Ferdynandowi, który rozkazał natychmiast uwolnić młodą fokę. Poszukiwania następne miały stwierdzić, że młoda foka należała do rodziny, złożonej z czterech członków, która ma być jedyną, zamieszkującą brzegi morza Czarnego. Niewiadomo tylko, do jakiego gatunku należały te ostatnie z Mohikanów: czy do zwykłego psa morskiego, którego Anglicy nazywają „Seal", czy do szarego, który zamieszkuje nad morzami Północnem i Niemieckiem; niepodobna bowiem przypuścić, żeby to były foki pierścieniowe lub siodłowe. Podług Trouessart'a dokładnie i starannie zestawionego „*Catalogue des Mammiferes vivants et fossiles*" znajduje się *Phoca caspica* także w morzu Czarnem.

Polowania na bobry na Kamczatce odbywają się tak często, że grozi im zagłada. Przed kilku laty pilny myśliwy mógł jeszcze zdobyć 40 bobrów w przeciągu roku; obecnie musi się dobrze napracować, jeżeli mu się uda złowić zaledwie 4 rocznie.

Szczepionka Lyssa. Podług wiadomości „Matin'a", niejaki A. Maire w Paryżu twierdzi, że wynalazł surowicę profilaktyczną przeciw wściekliźnie u psów, uodporniającą na jeden rok zwierzęta przeciw zarażeniu się wścieklizną od psa, którym zaszczepiono tę surowicę. Słynny weterynarz z Londynu, mr. A. J. Sewell, w wywiadzie ze współpracownikiem „*Illustr. Kenell-News*" wyraził się przeciw szczepieniu, ponieważ z jednej strony wypadki zarażenia się wścieklizną są bardzo rzadkie, a z drugiej — coroczne szczepienie musi źle oddziaływać na organizm.

Polowanie na ludzi. W Anglii powstał nowy sport..., polowanie na ludzi, i to polowanie z psami! Odbywa się to na wiosnę lub w lecie, a polega na wytropieniu „gentlemena", odgrywającego rolę jelenia, przez psiarnię, wypuszczoną za nim w pogoń w godzinę, albo i dwie później. Tresuje się w tym celu specyalne psy, „bloodhoundy", z węchem tak delikatnym, że rzadko kiedy tracą ślad gonionego człowieka, jeżeli im tylko przedtem dano powąchać jakiś przedmiot, np. surdut, kapelusz, trzewiki, należące do niego. W przeciwieństwie do swoich krwiożerczych przodków, psy te bynajmniej nie są złośliwe — chyba, że „zwierzyna" próbuje stawiać opór; kontentują się tylko odcięciem drogi i naszczekiwaniem, dopóki nie nadejdzie pościg. Biada jednak zuchwalcowi, któryby chciałby się przebojem wymknąć pogoni! Tresura wszelako tych psów nie polega na rozbudzaniu w nich krwiożerczych instynktów, ale raczej na wyrabianiu powonienia — wiatru. I tak się to robi: Wybiera się chłopca, zwykle murzynka, dobrego biegacza. Ubiera go się w sandały, których podeszwy u nóg maczano we krwi kury, lub jakiegokolwiek innego stworzenia i każe się uciekać. Chłopiec pędzi co ma sił, wreszcie po niezliczonem kluczeniu wdrapuje się na drzewo i sadowi się w gąszczu najwyższych gałęzi. Pies, puszczony na jego ślady w pół godziny po nim, musi go w końcu znaleźć po niewielkich, albo większych trudnościach. Z początku nie idzie to łatwo, i trzeba niekiedy poświęcić kilka tygodni na codzienne ćwiczenia w warunkach coraz mniej sprzyjających, dopóki pies nie stanie się pewnym swego zadania, nawet w takim razie, jeżeli zbieg pewną część drogi wpław przebył.

Niezwykła płodność psa. Towarzystwo myśliwskie w Jenie posiada wyżlicę krótkowłosą, która w roku 1905 miała *ośmnaście* szczeniąt, z czego trzy samce; w roku bieżącym znowu miała *piętnaście* szczeniąt, śród których są dwa samce.

Ofiarą wystawy psów padł niedawno jeden z najpiękniejszych wyżłów niemieckich, krótkowłosych, który otrzymał pierwszą nagrodę na ostatniej wystawie we Frankfurcie nad Menem. Ślicznej barwy brunatnej pies ten pochodził z Austryi; w drodze powrotnej uległ porażeniu słonecznemu i zdechł.

Widoki myśliwskie na Węgrzech w r. 1906/7 przedstawiają się o wiele jeszcze pomyślniej, niż w roku poprzednim. Zima nie była nazbyt obfitą w śniegi, była też łagodną, przez co zwierzyna przebyła ją bardzo dobrze. Ulewy i powodzie również nie wyrządziły szkody dotkliwej, to też spodziewane są bogate trofea na wielkich polowaniach. Toki były wyborne; w majątku np. Nasicze hrabiego Pejacsewicha w Slawonii ubito 500 głuszców. Bardzo liczny był ciąg słonek.

Historyczna wystawa myśliwska. W czerwcu r. b. otwarto w Monachium w muzeum miejskiem „Historyczną wystawę myśliwsko-strzelecką". Wystawa będzie otwarta do wiosny r. 1907. We wtorki, czwartki i niedziele od 9-ej do 1-ej po poł. wstęp jest bezpłatny.

Robactwo na sarnach. Z niektórych okolic Niemiec donoszą, że tam prawie wszystkie sarny ulegają chorobie, polegającej na tem, iż w sierci lęgnie się mnóstwo robactwa *Cephenomyia stimulator*. Jako przyczynę uważać należy przeważnie suche lato tegoroczne. Zwierzyna cierpi strasznie z tego powodu i chudnie.

Krzyżowania bażantów. W rewirach hr. Breunera pod Grafeneg w Niemczech osadzono przed 20-tu laty pierwsze bażanty królewskie; stan tych pięknych ptaków tak się powiększał, że powoli zasiedliły one także okoliczne rewiry. Bażanty te zaczęto sztucznie krzyżować z kurami zwykłych bażantów łownych, a próba udała się wybornie. Młode potomstwo ze skrzyżowania rozwija się bardzo dobrze.

Trofeum hr. Ponińskiego. P. Otto Bock z Berlina donosi do „D. Jaegerztg", że hr. Poniński ubił w Coseeger sępa kapturowego (*Vultus cinereus*) i przysłał go do Berlina (?); jest to bardzo rzadkie trofeum myśliwskie.

Dzierżawa milionera. P. Henryk Phipps, amerykanin, magnat stalowy, wydzierżawił polowanie w majątku Glenquoich w Szkocyi. Obszar wynosi 10,000 akrów. Do odstrzelenia jest tu corocznie w sezonie myśliwskim kilkaset jeleni, oprócz innej zwierzyny. Jedynie milioner może sobie pozwolić na taką dzierżawę, która kosztuje rocznie 100,000 funtów szterlingów (około 1,000,000 rubli).

Ś. p. Rudolf Weber. W sierpniu r. b. zmarł w 73 roku życia Rudolf Weber, znany wynalazca różnych żelaz i pułapek, właściciel firmy w Haynau pod Wrocławiem. Firma ta istnieje lat 35, dając coraz nowsze wynalazki i ulepszenia w tej dziedzinie. Przed dziesięciu laty obchodziła uroczyście 25-lecie istnienia. Firmę objął zięć zmarłego, Karol Gerlach. Wyrobom tym poświęcono książkę polską, wydaną nakładem „Łowca Polskiego".

Jaja i święto. — Bój się Boga, Marysiu, jakież te jaja drogie?

— A tak, proszę pani! Kury, jak się zdaje, mniej w tym tygodniu zniosły... Niech pani nie zapomina, że było dwa dni świąt!

* * *

Rezultat polowania. — Kto się najlepiej bawił na polowaniu u barona?

— Zwierzyna, gdyż nikt do niej trafić nie mógł.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebral z „Księgi Przysłów" J. O. (C. d.).

Łowca.

3. Włodarz czeka na trop cieply, a łowca na skrzeply.
4. Owczarz, co nie zna manowca, suchy rybak, mokry łowca — dyabla wart.

Łowczy.

1. Łowczych na świecie najwięcej.

Łowić.

1. Co on ułowi, ja na ręku uważę.
2. W kołnierzu łowi (lub poluje).
3. Złowić, jak ptaka na lep.

Łowiec.

1. Dobry łowiec wie, jak sieci zakładać.
2. Na łowca zwierz.
3. Kmieć na grosz, pan na kmiecia, ksiądz na pana—łowca.

Łowy.

1. W łowach uciecha, u stołu znajomość, w cieple sen (najlepsze).
2. Wtedy nie czas psy karmić, kiedy na łowy jechać.

Małpa.

1. Każdej małpie własne małpiątko drogie.
2. Małpa zawżdy małpą, byś też i złota kolo niej nawieszał.
3. Nie małpa, nie pies, nie wilk, nie kozieł, ot jakieś cudo!
4. Małpa i złodziej jedną drogą chodzi.

Mops.

1. Nie dla mopsa migdałowa polewka.
2. Do usług chłopczyka, do jazdy kucyka, do straży mopsika — trzymać nie warto.
3. Kto chowa chłopczyka, konika, mopsika, nie będzie miał pożytku nika (j).

Muł.

1. Czasem i muł wierzgnie.
2. Muł muła częsze.
3. Koń nie muła, ale konia płodzi.
4. Poszły muły po rogi, a wróciły bez uszów.

Myślistwo.

1. Przejażdżka, myślistwo, gospodarstwo: potrzebują wstania rannego.
2. Z rusznicą na wiosnę, z sokoły w lecie, z ogary w jesieni, z rarogi w zimie: myślistwa najlepiej użyć.

(C. d. n.)

Treść Nr. 18 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 36, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 19. Warszawa, d. 1 Października 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W październiku wolno polować na: dziki, łosie, jelenie, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacja w październiku.

Pełnia d. 2 o g. 2 m. 12 pp.
Ostat. kw. d. 10 o g. 5 m. 3 pp.

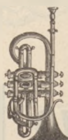
Wschód i Zachód Słońca

w październiku

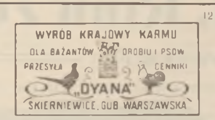
Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	6	1	5	37
2	6	3	5	35
3	6	5	5	33
4	6	8	5	30
5	6	8	5	28
6	6	10	5	26
7	6	12	5	23
8	6	12	5	21
9	6	15	5	19
10	6	17	5	16
11	6	19	5	11
12	6	21	5	10
13	6	22	5	9
14	6	24	5	7
15	6	26	5	5







12



NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego"

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

- **Jan hr. Ostroróg** „Myślistwo z ogary" t. I — 75 k.
- **C. Cronau** „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I — 1.50 „
- **Goedde** „Hodowla bażantów" t. I — 1.— „
- **Rudolf Weber** „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I — 75 k.
- **Ernest v. Dombrowski** „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I — 50 „
- **Jul. Biesiekierski** „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami — 80 „
- **Wiktor Stephan** „Sarna" t. I z rysunkami — 50 „
- **Wiktor Stephan** „Zając pospolity" t. I — 70 „
- **Ernest hr. Sylva-Tarouca** „Hodowca a myśliwy" t. I — 1.20 „
- **Dr. Max Neumeister** „Żywienie jeleni i sarn" t. I — 60 k.
- **Dr. O. Hilfreich** „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. 1. — 1.— „
- **Karol Lancaster** „Sztuka strzelania i polowania" z rys. t. I. — 80 „
- **Jan Sztolcman** „Ornitologja Łowiecka" t. I — 80 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Ś-to Krzyska 36) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni

K. TREPTEGO

(w Warszawie, Marszałkowska 149).